

2114
132

2114

132

160

NOWOROCZNIK
TEATRALNY

NA ROK

1882x



ces. / 20016 / 1882
NOWOROCZNIK

TEATRALNY

NA ROK

1882

WYDAŁ

IGNACY CHOJNACKI

Sufler Teatru Polskiego w Poznaniu.

ROCZNIK II.

POZNAŃ.

Nakładem Wydawcy.

Z DRUKARNI J. I. KRASZEWSKIEGO (DR. W. LEBIŃSKI.)

1882.

DUBLET
BIBLIOTEKI
PTPN

Powinszowanie na rok 1882.

Znów przebrzmiał rok stary
Lecz nie zabrał Wiary,
Co serca bratnie łączyła, —

I przez latak tyle
Pierś kolysze mile
Nadzieją; — a tój mogiła
Nie skryje! Na świecie
Źle nam było przecie,
A szliśmy mężnie dłoń w dłoni,
A więc z Nowym Rokiem
Dążmy wspólnym krokiem
Za lotem Orła, Pogoni!
I co własne, nasze
Nie dać wrogom w kaszę
„Zwycięzyć w Boskiej jest mocy!“
Idźmy zatem śmiało
Bój zakończyć z chwałą
A **złe** wyleci jak z procy! —

R. Ch . .


Biblioteka
UMCS
Lublin

W 339/93/48

WSTĘP.

Kiedy przed rokiem po raz pierwszy prezentowaliśmy się Przyjaciolom sceny narodowej, jedyném naszym pragnieniem było wówczas nie przebrzmieć na razie, — i nie raz jeden tylko mówić o sprawach teatru Polskiego.

Naszemu pragnieniu w części dziś staje się zadanie; przychyłność Szanownej Publiczności po raz wtóry ukazać nam się dozwala. Szczęśliwi, powtórnie kolączemy do pobłażliwości i dobrej woli Przyjaciół sceny narodowej. Korzystając z uwag, które nam Szanowna Publiczność w ciągu roku poczyniła, niektóre działy opuściliśmy, jako mniej ważne, a miejsce w ten sposób pozyskane zapelniliśmy mniejszymi artykułami treści belletrystycznej, — spodziewając się, że Łaskawi nasi Protektorzy tę zmianę łaskawie zaakceptują. Zaprowadziliśmy w tym roczniku nowy dział: „Rozmaitości teatralnych,“ który w następnych rocznikach jeśli takowe się pojawiają, będziemy się starali bogaciej wyposażać.

Sami czujemy, że w tym Noworoczniku nie jedno jeszcze nie wypowiedziane, czeka korzystniejszych warunków. — Mamy nadzieję, że z czasem wszystko zrobić będzie można, a jeśli jeszcze nie tą razą, to w niedalekiej przyszłości naszemu zadaniu podolamy. Prosimy tylko Szanownych Przyjaciół sceny narodowej o pobłażliwość nadal i zaufanie, gdyż Im tylko i sprawie narodowego teatru służyć pragniemy!

Sprawozdanie.

Teatr Poznański w ubiegłym roku nie miał powodzenia i mimo usilnych starań, jakich dokładał dyrektor pan Doroszyński, sala świeciła pustkami, a nawet sprowadzeni na gościnne występy pp. Rapacki i Zakrzewski nie zaciekawili o tyle widzów, jakby należało się spodziewać. Z październikiem ubiegłego roku, kończył się 3-letni kontrakt p. Doroszyńskiego ze Spółką teatru Poznańskiego, i pomimo niepowodzenia p. Doroszyński w marcu tegoż roku zawarł kontrakt na dalsze lat 3, to jest od 1 października 1881 do 1 paźdz. 1884. Poczém z dniem 5 maja Poznań opuścił, udając się do Warszawy na sezon letni.

Pobyt w Warszawie w przeszłym roku dla teatrów ogródkowych nie był korzystnym, a więc i p. Doroszyński poniósł materialne straty. — Powróciwszy do Poznania dnia 5 października, rozpoczął nowy szereg przedstawień, lecz zdawało się, że letnia niebytność teatru w Poznaniu jeszcze bardziej publiczność od sceny odstręczyła, i potrzeba było jakiegoś głośniejszego wypadku, aby ten stan rzeczy zmienić.

Okoliczności ku temu się złożyły: 11 listopada r. z. pan Doroszyński ogłosił, że „w skutek niepowodzenia dnia 1 grudnia t. r. Poznań opuszcza.“ Komitet teatralny widział się zniewolonym wybrać nowego dyrektora, aby zapewnić nadal istnienie tutejszej sceny. Zgłosiło się kilku pretendentów. Komitet teatralny uznał jednak warunki, jakie stawiał dotychczasowy reżyser teatru p. Łucyan Kościelecki za najodpowiedniejsze, i z artystą tym zawarł kontrakt na lat 6. Pan Kościelecki, pracując na scenie Poznańskiej lat 6, potrafił sobie pozyskać sympatyą nie tylko publiczności lecz zarazem i wszystkich swoich kolegów. Całe więc towarzystwo Poznańskie przyklasnęło temu wyborowi i podpisało kontrakty.

Publiczność dla dania zachęty nowemu kierownikowi sceny zaczęła liczniej uczęszczać do teatru i pomimo wrażenia, jakie wywarła katastrofa w Ryngteatrze wiedeńskim, nie przestała popierać nowych dążeń.

Rozmaitości teatralne.

W roku 1881 pojawiło się 90 nowych utworów dramatycznych polskich, bądźto na scenie, bądźto w druku, bądźto zapowiedzianych.

Z tych było tragedyi 4, dramatów, obrazów dramatycznych i obrazów ludowych 24, komedyi 24, krotoczwil, jednoaktówek, wszelkiego rodzaju żartów i fraszek scenicznych 26, oper 1, operetek 5, fars 4, monodramów 2.

Subwencye udzielane teatrom europejskim w roku 1880 przedstawiały się, jak niżej: „Wielka opera w Paryżu 800,000 franków, teatr w Berlinie 700,000 franków, w Sztutgardzie 625,000 franków, w Dreźnie 400,000 franków, nadworny teatr w Wiedniu 300,000 franków, San-Carlo w Neapolu i teatr Apollo w Rzymie też samą kwotę, teatr w Kopenhadze 250 tysięcy franków, tyleż teatru w Karlsruhe i Wajmarze, w Monachium 195,000 franków, Scala w Medjolanie 175,000 franków, teatr w Sztokholmie 150,000 franków, Belliniego w Palermo 120,000 franków, w Brukselli 115,000 franków, w Turynie 60,000 frank., teatr Pergolo we Florencyi 40,000 frank.

Sceny polskie: Teatra warszawskie 30,000 rubli, teatr Skarbka we Lwowie 24,000 florenów, krakowski 11,000 florenów, a teatr Polski w Poznaniu... 0.

Żaden rok nie był tak obfitym w pożary teatrów, jak rok 1881. W żadnym też roku ofiary w ludziach nie były tak sztraszliwe, jak w r. 1881. Do połowy grudnia gorzało w Europie teatrów dwanaście; kilka z nich spaliło się do szczętu, w dwóch zaś teatrach popaliły się setki ludzi, przy reszcie teatrów ogień ugaszono w zarodku.

Pożary nawiedziły teatru, jak następuje:

25 marca teatr w Nicei, 200 ofiar.

5 kwietnia teatr w Montpellier zgorzał do szczętu.

6 maja teatr Phalera w Atenach.

8 czerwca Théâtre Royal w Belfast zgorzał do szczętu.

Szkody wynosiły 20,000 funt. szterlingów.

Z 4 na 5 lipca zgorzał w Kadyksie Gran Teatro, jeden z największych hiszpańskich, jedno z arcydzieł tegoczesnych.

12 sierpnia Teatr narodowy czeski w Pradze, zgorzał zupełnie. Straty wynoszą 1 milion florenów.

We wrześniu palił się Teatr parkowy w Londynie, pożar powstał o północy.

10 października Teatr królewski w Sztokholmie; ogromne straty w przyborach.

11 października berliński Schauspielhaus, podczas przedstawienia „Gajer Wally“ zapaliły się kulisy, pożar w kilku minutach ugaszono.

Okolo 20 listopada Teatr w Antwerpii w kilka godzin po przedstawieniu, straty mniejsze.

5 grudnia powstał mały pożar w Wielkiej Operze Paryskiej, który zaraz ugaszono.

8 grudnia straszliwy pożar Ringteatru w Wiedniu. — Ogień powstał na scenie na kwadrans przed przedstawieniem operetki Offenbacha p. t. „Opowieści Hoffmanna“ i szalał do godziny 2 w nocy. Cały teatr stał się pastwą płomieni, i co gorsza przeszło 449 ofiar w ludziach.

Skład Towarzystwa teatru Poznańskiego

w sezonie 1881—1882

pod Dyrekyą

Lucyana Kościeleckiego.

Artyści dramatu i komedyi:

Artystki.

Linkowska Barbara.
Otrembowa Julja.
Kałużyńska Anna.
Cieślińska Filomena.
Łempicka Karolina.
Królikowska Eleonora.
Chojnacka Rozalia.
Filiżewska Julja.
Bitkowska Karolina.
Kowalska Klotylda.
Adler Sylwestra.
Romuald Franciszka.
Grodzka Zofia.
Józefowicz Ludwika.
Berger Marya.
Szymańska Helena.

Artyści.

Kościelecki Lucyan.
Linkowski Adolf.
Hierowski Stanisław.
Skirmunt Mieczysław.
Kasprowicz Józef.
Królikowski Kazimierz.
Jejde Juliusz.
Feliński Felicyan.
Józefowicz Roman.
Einsporn Aleksander.
Lisiecki Roman.
Turezyński Mikołaj.
Majdrowicz Eugenjusz.
Walentowski Konstanty.
Sosnowski Józef.
Skóraczewski Apolinary.
Janiszewski Wincenty.

Reżyser dramatu i komedyi . . . Kościelecki Lucyan.
Reżyser opery i operetki Jejde Juljusz.
Sufler Chojnacki Ignacy.

Artyści opery i operetki:

Schürer Emanuela.
Kasprowicz Amalia.

Turezyński Mikołaj.
Einsporn Aleksander.

Dyrektor opery i operetki Konopasek Feliks.
Artyści dramatu i komedyi biorą udział w operze i operetkach,
w partjach solowych i chórach.

Lekarz honorowy teatralny . . . Dr. Batkowski.
Sekretarz teatru Kasprowicz Józef.
Kasyer Tuszewski Jan.
Inspicyent Walentowski Konstanty.
Fryzyer teatralny Buchholz Leon.
Malarz dekoracyjny Lisiecki Roman.
Fajerwerker Wunsch Antoni.
Kostjumer Menzel August.
Rekwizytor Maliński Ksawery.

Służba sceniczna:

Maszynista Siewert Karol.
2-gi maszynista i afiszjer Bartoszewski Konstanty.
Gazowy * * *
Woźny Jeszke Nepomucen.

Służba ogniowa. — Bileterzy. — Pomocnicy. — Stróż teatralny.

POEZYA I MUZA.

Pod klątwą gniewu Boga, ta co rajem była,
Ziemia, co miała płynąć i mlekiem i miodem,
Dziś miasto obfitością, darzyłaby głodem;
Bo z ziemi rodzicielki, dziś ziemia — mogiła.

Lecz to niby zaklęte łono matki — ziemi
Takie siły zawiera i źródła obfite,
Że pracą człek odkrywa te skarby ukryte,
A choć sam sługą pracy, panuje nad niemi.

Kiedy ziemia kwiat bujny i owoc wydaje,
A obfitością plonu pilność wynagradza, —
Duch w pracy umysłowej równy kwiat wyradza
I pracy organicznej symbolem się staje.

Duch twórczy niby drzewo, czubem trąca chmury
A gałęzie szeroko roztacza po świecie;
Liść bujny, to są myśli, a zaś jego kwiecie,
To Muza i Poezya, piękne ducha córki.

Bo Muza i Poezya, są to dwie siostrzyce,
Nieodłączne od siebie, uściskiem splecione;
Niby dwa pączki róży, kwiaty ulubione,
Co ku niebu zwracają wdzięczne swoje lice.

Ich piękność niezrównana mile oko pieści,
Urokiem niepojętym za serce cię chwyta;
Ich woń niby woń róży, co w pączku spowita,
A już w dziewicy zdradza cały wdzięk niewieści.

Gdy wieczna młodość piękne siostrzyce lica bieli
Tak nadobnie, więc rzekłbyś, że bogini Hebe
Może w serca dobroci załatwia potrzebę
I swą wieczną młodością z siostrami się dzieli.

Ich wdzięczne panowanie, jak każde dziewicze,
Tak przecież jest potężne i niepokonane,
Że gdyś uległ ich wdziękom, wnet siły nieznane
W sercu ci osiadają tęskne, tajemnicze.

Lecz ta miłość do Muzy, Poezyi nadobnej
W szlachetne trąca struny i wieszczki unosi;
Przez nią wieszcz wielkie mężów czyny światu głosi
Jak w Ojczyźnie apostoł idei ozdóbnej.

ARTYSTA.

„Miasteczko Meiningen, pisze pewien niemiecki powieściopisarz, byłoby wcale znośną i przyjemną miejsciną, — gdyby nie przeciążające podatki, i aż trzy tragedye w tygodniu.“ — Ogólnik, który w swoim czasie krążył z ust do ust, a ogólnik nader trafnie charakteryzujący usposobienie panującego Księcia Jerzego i jego wielkie zamiłowanie do sztuki dramatycznej, — osobiwie zaś, jej poważnego działu. — Bo scena w Meiningen zawdzięcza wszystko, czy to swe głośnie imię, czy kierownictwo znakomite najwięcej, rzecz można, jedynie Księciu Jerzemu. — W czasie, z którego niniejszy epizod opisujemy, teatr w Meiningen nie wychylał się jeszcze po za ciasne granice swego państewka. Był to czas przygotowania się, ćwiczenia. Miano właśnie wystawiać „Wilhelma Tella.“ Sztukę tę przestudjowano świeżo i wprowadzono na scenę pod osobistym kierunkiem samego Księcia. Dekoracye po większej części malowali artyści malarze, według dawnych ilustracyi lub z natury, a kostjумы przygotowano historyczne, z pedantyczną prawie drobiazgowością. — Bohatér dramatyczny Herman Hendrichs, ulubieniec berlińskiej i frankfurtskiej publiki, przyjechał właśnie na dłuższy czas, na wstępy gościnne, i jemu powierzono rolę Wilhelma Tella, — w mistrzowskim oddaniu, której, zjednał sobie imię rozgłośnie, sięgające aż za granicę państwa.

Panna H. Franc, grała rolę Jadwigi. Była to pierwsza gwiazda na horyzoncie tego teatru, która zabłysła już to prawdziwym talentem, — już też i szczególną łaską Księcia-Dyrektora. Weilenbeck miał grać rolę Gesslera. Panna Franc widząc, że blask talentu Hendrichsa przyćmił cokolwiek jój imię, przemyśliwała nad tém, jakby się pozbyć niemiłego gościa i odtąd też rozpoczęły się intrygi zakulisowe. — Hendrichs nie wazał na to wcale. Nikt zaś nie ośmielił się wystąpić przeciw niemu otwarcie, z obawy, aby się nie narazić Księciu, który go cenił wysoce. Kilkakrotnie usiłowano uderzyć w jego słabą stronę pozorną nieuwagą na małe ustępy jego mistrzowskiej gry, które mogły się uwydatnić jedynie uwagą współgrających. — Była to mała wojna zakulisowa. — Dotąd zachował się Hendrichs, z największym

spokojem, — coś jednak ciężło w powietrzu, co miało wybuchnąć niby burza pośród nurtujących żywiołów, co się i stało nareszcie. — Już odegrano scenę, w której Tell żegna się, aby podążyć z Walterem do Altdorfu. — Hendrichs i panna Franc, jako Tell i Jadwiga, po mistrzowsku oddali scenę miłości i przywiązania małżeńskiego, a Hendrichs zachwycał swoją serdeczną prostotą. W publice rześiste oklaski, a wszyscy wołają Hendrichsa. Kurtyna się podnosi, — tymczasem, nim jeczce artysta mógł wstąpić na scenę, wychodzi szybko z za kulis panna Franc przed publiką, prowadząc za rękę najmłodsze drzące dziecko Tella. Co właściwie miała publiczność podziwiać w tym chopcu, trudno domyślić się, chyba to, że był to syn woźnicy dworskiego — a rysy służby uderzały dziwném podobieństwem do fizygnomji panów.

„Hendrichs!“ woła publika, lecz ten nie wychodzi. Zastłona spada. Obrażony artysta nieda się ubłagać do wyjścia. — „Dla czego nie wyszedłeś pan ze mną? zapytuje go panna Franc, z obojętném poruszeniem ramion. „Tego już było nadto, Pani,“ rzekł hamując się, jeżeli sądziłaś naprawdę, że to dziecko które wybełkotało tylko słowa: „Matko, ja pozostanę przy tobie,“ zasługuje na wywołanie i oklask, to ja w takim razie pozostaję za kulisami. Byłoby prawie świętokradztwem, gdybym wyszedł był po tój komedii, którą pani urządziłaś z dzieckiem. — Dla pani może potrzebném jest uniżyć się, aby zjednać sobie łaskę tłumu, mnie przeciwnie szlachetna duma nakazuje zniewolić, aby ten tłum sam przyszedł do mnie; — bo wiedz pani, że talentu prawdziwego nie nada uśmiech Księcia, ani też gniew jego zniszczyć zdoła.“ Zwrócił się i odszedł. — Teraz pozostał Hendrichs izolowany, — wszystko odsunęło się od niego. — Obraził pannę Franc, osobę, mającą najwięcej wpływu. Szepty po kątach okazywały nietylko wzburzenie, ale nawet zdradzały, że coś knują na upokorzenie jego. Wkrótce nadarzyła się sposobność w scenie, gdzie Tell wypuszczoną z łuku strzałą zrzuca jabłko z głowy swego syna. Tell wzbrania się kłaniać kapeluszwowi — w tém Gessler się zjawia, i już nie tylko, jako mściciel obrazonego majestatu, ale zarazem i srodze obrazonego majestatu panny Franc. — Tell rzuca łuk na środek sceny. „Jaż mam za cel mieć głowę dziecka mego, z własnego łuku mam wypuścić strzałę?.. pierwej niech umrę,“ — Hendrichsowi nadzwyczaj wiele na tém zależało, aby tę scenę odegrano podług jego zarządzenia; na próbie dokładnie nawet oznaczył miejsce, gdzie ma łuk leżeć. Pomyłka była niemożliwą, gdyż

prosił usilnie Weilenbecka, który grał rolę Gesslera, aby się zastósował koniecznie do tych uwag. Dziś jednak jakoś nie dopisała pamięć Weilenbeckowi, — kroczy po łuku i nogą odrzuca go na bok, tak, że aby podnieść broń swoją, musiałby Tell daleko obchodzić Gesslera, który domaga się strzału. „No prędjéj!“ — Gdy jednak Hendrichs poznał, że naumyślnie chciano osłabić efekt téj sceny, wstaje, składa pięść, bieży ku Gesslerowi, a krzyknąwszy „na bok,“ daje mu tak potężny cios w piersi, że tenże potoczył się aż ku kulisom i utorowawszy sobie w ten sposób drogę, podnosi łuk ze ziemi. Publiczność patrzyła zdumiona, lecz spokojnie, bo przeczuwała, co zaszło. Resztę aktu skończono w porządku. Nie bacząc na burzę oklasków, wpada Hendrichs do garderoby, — lecz zaraz po spuszczeniu kurtyny wchodzi i Książę na scenę, szukając artysty, a nie znalazłszy, każe go prosić do sali.

Książę czeka, w tém wchodzi płonący jeszcze od gniewu Hendrichs; książę postępuje parę kroków ku niemu i chce coś mówić, ale Hendrichs nie dopusza go do słowa i zaczyna zaraz: „Wasza Wysokość jesteś księciem z Bożej łaski, a ja, jestem artystą z Bożej łaski, a artystą nie dla tego, że doznaję łaski Waszój Wysokości, jak wielu w tym szacownym kole;“ to mówiąc, rzucił ogniste spojrzenie na stojących opodal pannę Francę i Weilenbecka, ale dla tego, że Stwórca wlał w me piersi czucie i dar odczucia tego, co przedstawiam. Książę swe stanowisko w społeczeństwie zawdzięczasz szczęsnemu losowi — ale Herman Hendrichs, zdobył sobie sam znaczenie w świecie. Sztuka moja, moją religią; w tém znaczeniu uważam się za kapłana w usługach ludzkości.“ Skłonił się nisko i zniknął za drzwiami. Dyrektor Grabowski wypadł za nim i usiłował go uspokoić. „Mój drogi przyjacielu“ — odpowiedział, „do ciebie nie mam żalu, tyś zmuszony patrzeć na to obojętnym wzrokiem, aby na stare lata nie zostać bez chleba, ja zaś nie potrzebuję się na to oglądać.“ „Ależ uzpokój się,“ odrzeczł Grabowski, „w zburzeniu widzisz wszystko jaskrawiej, aniżeli jest wistocie, miéj wzgląd na kobiece kaprysy.“ „Tylko tak dalej, przerywa Hendrichs, a wnet bogini sztuki zejdzie do rzędu zwykłej publiczności, a teatr ten zamieni się w harem.“ Nie drogi, rzecze dyrektor, sam temu nie wierzysz, co mówisz, nie rozpusta utrzymuje ten teatr, ale duch artystyczny księcia, który pragnie za pomocą sceny naród uszlachetniać. Książę Jerzy umie téż cenić prawdziwy artyzm, a jestem przekonany,

że zagoi wnet ranę twoją. Przez śmierć Józefa Wagnera w Wiedniu, zawakował krzyż orderu Ernestyńskiego, a jeżeli się nie mylę, to „Nie kończ — zawoła Hendrichs — i powiedz księciu, aby dla kogo innego zachował swoje odszczególnienia, bo Hendrichs ich nie łaknie.“ Jeszcze tego samego wieczora wręczył Hendrichs prośbę o zwolnienie go z występów gościnnych, na co mu jak najgrzeczniej i przychylnie odpowiedziano. W parę dni potem stał Hendrichs na dworcu kolei żelaznej, oczekując na pociąg, który go miał unieść z Meiningen, gdy w tém nadbiega przyboczny jeździec księcia, i wręcza artyście list i małą szkatułkę z wojskowym oświadczeniem: „Od Jego Książęcej Mości.“ Był to własnoręczny list księcia, następującej treści: „Kochany Hendrichsie! Przyszła mi wszystko słowo w słowo co mi powiedziałeś w obec zgromadzonych artystów. Z pewnością nie ma odemnie gorętszego wielbiciela sztuki, osobiście zaś dramatycznej. Zgadza się na wszelkie szkody tak moralne jak i materialne, jakie wynikły z pańskiego wyjazdu, a nawet nie mam żalu, że chcąc mieć ucztę artystyczną, opuściłem udział w akcie, w dziejach wielkie znaczenie mającym, zajęcia Paryża, i wejście połączonych armii niemieckich — aby widzieć genialnego tłumacza myśli poetów, czego mi odmówiłeś tak niełitościwie. Że pogardzasz, jako prawdziwy artysta, orderami i dekoracyami, cenię cię jeszcze więcej. Państwo sztuki to wielka rzeczpospolita, gdzie przewodniczyć tylko powinny talent i geniusz, a w tym państwie powinny się znajdować tylko wybrani, którzy noszą odznaki swego talentu nie na piersi, lecz wewnątrz. Jako wolni obywatele tej rzeczypospolitej, podają sobie przyjazne dłonie, książę i artysta. Lecz aby nas łączył i w dali jakiś znak widomy, mianuję Pana członkiem honorowym mego teatru i posłałam załączony pierścień z wrytymi głoskami mego imienia. Będzie to pamiątką, daną przyjacielowi przez przyjaciela i w tém znaczeniu proszę go przyjąć i nosić. Twój Jerzy.“ Ze łzą rozczulenia kończył artysta ostatnie słowa listu, i wyciąwszy ze szkatułki kosztowny z brylantami pierścień, włożył na palec, nie zdejmując go do śmierci.

Dziś już mogiła pokrywa zwłoki wielkiego artysty. Panna Helena Franc została baronową v. Heldburg, następnie małżonką księcia. Teatr w Meiningen znany dziś całemu światu.

DIABELSKA SONATA.

„Do szatana! to zawsze jeszcze nie dobrze! Nie jestem w stanie wygrać tój waryacyi, tak, jakbym chciał! Niechaj lichy porwie uparte skrzypce! Lecz może jestem zanadto zmęczony: muszę wypocząć, spać, marzyć, snić, zapomnieć — jutro pójdzie lepiej!”

Temi słowy, krótko przed północą młody skrzypek Józef Tartini zakończył trudne ćwiczenia, w arpeżiach, trylach i oktawach, którym oddawał się cały wieczór. Płochy, lekkomyślny, w Padwie o wiele więcej spędzający czasu na muzyce i fechtowaniu, jak na nauce prawa, ścigany przez krewnych kardynała, którego siostrzenicy pięknej Biance Coronowu udzielał lekcyi, a później wzięwszy z nią potajemny ślub, zmuszony był opuścić Padwę, przebrany za pielgrzyma, nie-szczęśliwy ten, lecz równie genialny młody małżonek dostojnej siostrzenicy kardynała, znalazł schronienie u pocziwych mnichów w klasztorze w Assisi, gdzie mógł bezpiecznie się ukrywać i chociaż trawiony tęsknotą i miłością dla pięknej Bianki, spokojnie poświęcać całe długie godziny ulubionym muzycznym studjom. Młody wirtuoz zamieszkiwał małą, ubogą celę, lecz oddaloną nieco od innych cel klasztornych, a tuż obok znajdowały się drzwi prowadzące do pięknego wielkiego ogrodu, do którego otrzymał osobny klucz, aby mógł wedle woli i upodobania korzystać z przechadzki i używać świeżego powietrza.

Tak też pewnego wieczora — a było to w pierwszych dniach maja roku 1713 — młody Józef Tartini chodził długo po ogrodzie z sercem przepelnionem bolesną tęsknotą za ukochaną uczennicą, a piękną małżonką, którą niestety zmuszony był opuścić tak krótko po ślubie, ponieważ kardynał godził na jego życie. Wreszcie udał się do refektarza na wspólną wieczerzę, gdzie prowadził z mnichami długą i uczoną rozmowę o pełnej sławy sztuce świętej Cecylii, która wówczas (1700—1720) zaczęła kwitnąć w całych Włoszech jak dwieście lat poprzednio malarstwo, sztuka rozweselająca oko. Gdziekolwiekbyż zaszło się we Włoszech, czy do klasztoru, czy do kościoła, czy do gospody, a nawet nad brzegiem morza, w łodziach rybackich,

wszędzie słyszało się cudnie dźwięczne melodye, śpiewane przez młode dziewczęta i młodzieńców — błogo odbrzmiewały w duszy człowieka owe na wpół wesołe melodye, w których objawiał się niby duch wyższej, niebiańskiej potęgi i w tych czarownych tonach spływał na ziemię.

Nie będąc sam śpiewakiem, Tartini posiadał w wysokim stopniu poczucie muzycznego piękna i starał się urocze ludowe piosenki odtworzyć na skrzypcach, jednakże trudno mu było oddać tę całą skalę różnorodnych uczuć, któremi one się odznaczały, chociaż, jako doświadczony skrzypek wiedział, iż instrument ten nadaje się do najdelikatniejszych odcieni i najsztubtelniejszych zwrotów w muzyce. Dzisiejszego wieczoru napróżno próbował przez długie godziny wygrać jedną ręką trylujące pizzicato, podczas, kiedy z pod drugiej w pełnych czystych akordach miała wypłynąć prosta, lecz głęboka melodia, — nie mógł oddać tego tak, jak czuł: a wszystkie trudności wykonania tyle jeniałnej myśli, nie dawały mu pokoju w sennych marzeniach, w jakie popadł, udawszy się na spoczynek.

W tem samem marzeniu zdawało mu się, iż stał przed licznie zebranem towarzystwem w Padwie i grał efektywną, koncertową sztukę, dopóki nie doszedł do miejsca, gdzie wyżej wspomniany motyw miał stanowić najświetniejszy punkt dzisiejszego wieczoru. Czuł, że go przestroch ogarnia: zimny pot wystąpił mu na czoło, począł się mylić, skrzypce wydawały fałszywe tony — wtem nagle jakaś twarda, długa ręka o przerażających kościstych palcach wydarła mu z ręki instrument — i ktoś przemówił do niego ochrypłym głosem: „ty przecie tego nie umiesz. Ja ci to zagram!“

Z obawą spojrzął po za siebie: strasznie złośliwa twarz mały wykrzywiła się sarkastycznym uśmiechem, a tymczasem tony melodyi wypływały z pod smyczka czyste i pełne czaru. Publiczność zdawała się wcale nie zauważać, że ktoś inny go zastąpił, tylko raz po raz obsypywała grającego hucznemi oklaskami, potem znów wszystko przycichnęło i kaźden przysłuchiwał się z natężeniem artystycznej grze znakomitego skrzypka, jakiego wówczas jeszcze dotąd nie znano.

Tartini chciał coś mówić, zrobić jakieś zapytanie, wyrazić swój podziw, lecz dziwna istota o długich rękach i złośliwym obliczu odezwała się do niego ostrym głosem: „Cicho bądź, stań ze mną i ucz się odemnie — jestem szatanem!“ I na wpół martwy z przestrochu artysta widząc, jak mie-

szkaniec piekieł trylował dwoma palcami lewej ręki, a dwoma drugimi wykonywał po mistrzowsku główną melodyą, usłyszał teraz oddany z całą dokładnością ów motyw który ciągle brzmiał mu w duszy. Porwany nieopisanym zachwytem nie widział już w grającym szatana, ale coraz uważniej się przysłuchiwał aby mózł go naśladować.

Wkrótce jednak rozstąpiła się ziemia, ukazał się czerwony, ognisty płomień, i zanim Tartini się spostrzegł, szatan zniknął w przepaści. Lecz skrzypce trzymał w swym ręku i znowu huczne oklaski rozległy się po napełnionej publicznością sali, wynagradzając go za jego grę, jak gdyby to on był wszystko wykonał a nie szatan.

Oblany potem, Tartini zerwał się i obudził ze straszliwego snu. Na dworze huczała gwałtowna burza, grzmiało, piorun uderzał po piorunie i wstrząsał klasztornym budynkiem, błyskawice oświetlały jaskrawo nędzną celę, w której się znajdował, zupełnie niepodobną do świetnej koncertowej sali. Lecz sen niezmiernie zrobił na nim wrażenie, nie pozwolił mu dłużej spoczywać, pospiesznie wstał z łóżka, zapalił świecę, rzucił na papier główny motyw słyszaney we śnie melodyi, dołączył do niej zachowane w pamięci tryle i akorda, i dopiero próbował przegrać, to co napisał.

Przychodziło mu to okropnie trudno. Lecz zanim zaczęło świtać osiągnął przynajmniej tyle, że mógł zagrać wolno wprawdzie, ale zupełnie poprawnie, wykonaną wedle swych motywów, przez szatana kompozytę.

Tak powstała owa sławna „Djabelska sonata,“ tak bowiem nazwali ją braciszczowie klasztorni, wysłuchawszy opisu dziwnego snu Tartiniego.

Odtąd codzień przez cztery tygodnie ćwiczył młody wirtuoz trudne dzieło podsłuchane we śnie, a które miało świadczyć o coraz wyżej wzbijającym się jego talencie. Poczem przegrał ją pewnego razu braciszczkom klasztoru, wytłomaczywszy im, że sonata miała być wyrazem zwycięstwa boskiego światła nad ziemskimi rozkoszami i piekłem. Zakonnikom niezmiernie podobał się ten utwór i prosili go, aby sonatę zagrał na Zielone Świątki, przy końcu mszy w kościele, twierdzili przytém, że to wywoła niesłychane wrażenie.

Kiedy w on dzień świąteczny, Tartini zaczął grać cudowne swe dzieło, przypadkiem przejeżdżał tedy kardynał Cornaro z swoją siostrzenicą, oboje wielcy lubownicy dobrej muzyki, ponieważ droga wypadła im przez Assisi. Kazał zatrzymać konie stangretowi i oboje z Bianką weszli do kościoła

w sam czas, aby usłyszeć najpiękniejsze miejsca z Djabelskiej sonaty Tartiniego. Znakomity znawca kardynał spojrział zdziwiony na chór, skąd rozlewały się na okół pełne czaru tony skrzypców, wydobyte niezwykłą artystyczną ręką. Lecz tutaj nie mógł zobaczyć sławnego wirtuoza, ponieważ Tartini stał ukryty po za zieloną jedwabną firanką, nie chcąc być widzianym od nikogo. Lecz gdy już kończył grać sonatę, zakrystyan otworzył drzwi kościoła na roścież, aby ułatwić wyjście licznie zebranej publiczności. Nagły przeciąg uchylił nieco zielonej firanki na chórze. W téj saméj chwili Bianka spojrzała w górę, jedno tylko spojrzenie zamienili z sobą młodzi małżonkowie, a piękna Bianka wyszepnęła miłośnie nazwisko „Tartini!“ i padła omdlała w objęcia wuja.

Artysta tymczasem pospiesznie dokończył sonaty i podczas kiedy wszyscy wychodzili z kościoła, pobiegł szybko za nieznaną znowu małżonką i pocałunkami przywrócił omdlałą do życia.

Kardynał patrzył na to spokojném okiem, mówiąc: „Wyrobiłeś się na wielkiego artystę, Józefie Tartini! Artystcie jestem zmuszony przebaczyć to, w czém zawinił student. Jedź z nami do Padwy, drogi synu, tam zostaniesz dyrektorem mojej orkiestry!“

Szczęśliwa, młoda para opuściła kościół, poczem oboje wraz z wujem wsiedli do świetnego ekwipażu i odjechali błogosławieni przez zakonników, obsypani życzeniami szczęśliwej przyszłości. Tak mistrz ów szczęście swoje zawdzięczał właściwie swéj dotąd jeszcze sławnej „Djabelskiej sonacie.“

Naśladował *Stanisław Wegner.*

HUMORESKI.

Paganini, spiesząc do teatru przed samém rozpoczęciem koncertu swego na jednej strunie G., wszedł do doróżki i kazał popędzić.

Doróżkarz zażądał za jazdę 10 franków. Jakto, za ten mały kurs, mówi maestro, tak wiele pieniędzy? zapytał Paganini. Wielmożny Panie, odpowie doróżkarz, jest to zaledwie tyle, ile żądasz za 1 bilet na swój koncert.

Masz słuszność, odrzekł Paganini, zapłacę ci chętnie, ale musisz mnie powieźć na j e d n é m kole.

Pewien nieznaną autor dramatyczny francuzki przesłał dyrektorom teatrów we Francyi następującą kartę wizytową.

„X... autor dramatyczny, wynalazca niezawodnego sposobu odmładzania wszelkiego rodzaju dramatów, operetek, wodewilów i komedyi, wygładzania zmarszczek dialogu, wrywania siwych włosów z czupryny intryg, i przywrócenia siły żywotniej rozwiązaniu. Można się radzić od 2 do 4 godziny codziennie.“ Do téj karty dołączono szczegółowy plan odmłodzonego w ten sposób „Kuryera lyońskiego“, którego publiczność miała okazyją w tym roku poznać i na naszój scenie.

Plan ten dołączono, jako rodzaj dramaturgicznej próbki.

Alojzy Żółkowski powiedział kiedyś: „Żadna jarzyna tak nie nadyma, jak miłość własna.“

DZIEWECZKA.

Panie! Co też pan powiada!
Niby to tak łatwo kochać...
Jabym wreszcie... jabym rada...
Choćby dla tego ino
Byś pan przestał tęsknić, szlochać,
I świat straszyć chmurną miną,

Jakby zbój z dalekich borów,
Albo wysłaniec upiórów ...
Ale mama nie pozwala
Kochać, tak — mama powiada
Że serduszko się zapala ...
Aha! a to rzecz nie lada!
A cóż bym ja, Boże miły,
Z pożarem w sercu robiła?..
Toż by to kłopoty były,
Na śmierć bym się zamartwila ...

Panie, panie, co pan robi?
Pan wydzierasz włosy z głowy!
Fe, ten włos tak pięknie zdobi
Czoło pana ... Znowu nowy
Napad niesforności? znowu? ...
Tak pan wierny swemu słowu?
No bawisz mnie pan przyjemnie,
Poradzić z panem nie mogę ...
Cóż się pan wpatrujesz we mnie?
Proszę patrzeć na podłogę,
Nie we mnie, jak w obraz święty!
Nudnyś pan! O! ... jaki zawzięty ...
Idź pan już ... do jutra rana ...
Panie! panie! Czyś pan wiecznie
Taki nudny? Żegnam pana! ...
Tak?! A pięknie! Bardzo grzecznie!
Odechodzisz bez pożegnania?
Dobrze — idź pan — nikt nie wzbrania...
Ach niezdolny! wróć pan zaraz!
Panu, panu trzeba żony — ?
Miałaby z panem ambaras,
Taki mąż rozkapryszony ...

Rączkę?! dobrze — ja nie bronie
Byle nas nie podsłuchali ...
Masz pan obie razem, całuj,
Bo rączka się nie zapali.
Oho! znowu schmurzył skronie ...
A to Boska kara! daruj
Pan, lecz widzę, żeś nie zdrowy ...
Siadaj proszę, — mam dziś nowy
Transport nut. Mam ślicznego
Szopenowskiego walczyka ...
Albo nie, nie ... co innego;
Deklamuj pan co z Asnyka ...
Pan tak ładnie deklamuje,
Że gdy słucham, tehu nie czuję,
I cieszę się, to znów trwożę,
Bardzo czułe serce pana
Nieprawdaż? ... co? — Ach mój Boże
Jaka żem ja roztrzępana!
Idź pan już, mnie głowa boli,
Będę płakać z tój swawoli ...

Idź pan... wszak pan jutro wróci?
Jutro imieniny cioci,
Pewnie gości mieć będziemy —
Może nawet potańczymy...
Pan nie na to? Czyż mam sama
Zapraszać pana do tańca?
Oj! dobrze mówiła mama
Żeś pan zdatny do różańca...
No, no, to nie moje zdanie
Tylko mamy — a ja wierzę
Że pan księdzem nie zostanie,
Bo przyznam się panu szczerze
Że bardzo bym się zmartwiła
Gdyby mama wywróżyła...
Bo los pana mnie obchodzi
Jak brata, jak... e! cóż szkodzi,
Powiem — jak... Nie, nie, do rana
Nic nie powiem!.. Żegnaj pana!.. —

L. Kościelecki.

W NOC CZERWCOWA.

Nocy! w twój ciszy gdy patrzę na światy,
Co blaskiem światel miesięcznych oblane
Snią niby raje zaczarowane
Albo księżycy skamieniałe w kwiaty,
Piersz ma goręje... pragnął bym ze drzeniem
Wziąć cię w objęcia piękną, tajemniczą,
Kiedy zalotna okrywasz się cieniem
Szat modrzewiowych z muzyką słowiczą...
Kocham Cię! W twojej wszechwładzy milczącej
Leżą spowite niby niemowlęta
Uśpionych myśli tajemnice —
Do ciebie, nocy! brylantami lśniącej
Dusza człowieka rwie się, jak zaklęta
I boskie zapala gromnicę!..
Lecz straszną musisz być tym, co pożarne
Strugi boleści w duszy swęj jak w trumnie
Zamkną, a czoła ich świecą tak dumnie
Jak w złotych wieńcach kolumny ementalne...
Tym, którzy patrząc w lśniące twe szafiry
W niewysłowionej tesknocie,
Potęgą woli na myśli swych kiry
Rzucają jasnych słońce krocie...

Warszawa 1879.

L. Kościelecki.

BALAMUTKA.

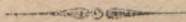
Ach cobym ja za to dała
Gdybym raz się zakochała!
Bo to mówią, że dziewczyna
Może kochać co godzina.
Ja już godzin tyle żyję
Serce jednak mi nie bije,
A choć bije to spokojnie.
I choć mówią że na wojnie
Tyle chłopców wyginęło,
I lez dużo popłynęło
To mnie żal ich wszystkich razem...
Chyba serce nie jest głazem.
Ten mi piękne rzeczy prawi,
Ten się ładnie ze mną bawi,
Tamten przyniósł sznur koralu,
Ten znów wzdycha za mną w dali.
A ten wczoraj wśród roboty,
Wyśpiewywał tak, — z ochoty,
Że mię kocha nad swe życie! . . .
O sny złote! gdzież gonicie?
Ni mnie Janka śpiew nie bawi,
Ani słucham, gdy Staś prawi. —
Nie chcę wstążek ni koralu,
Tylko biegnę myślą daléj
Po za góry, po za rzeki,
Gdzieś bez końca w kraj daleki,
I wyglądam wciąż bez końca,
Gdzie zachodzi promyk słońca! . . .

O, już nie wiem, czy ja dłużej
Tak wyżyję!....

Boć to przecież i przy róży
Ciągłe motyl się uwija.
A tu już szesnasty mija,
A ja sama, smutna, biedna!...
Pokochała już niejedna,
A ja kochać nic nie mogę.
Czyż ja sama pójdę w drogę?
A więc, niechaj — pójdę sama —
Jest i ojciec, jest i mama,
Bracia, siostry, przyjaciółki,
Drzewa, kwiatki, są i pszczołki.
Ukocham wszelkie stworzenie,
Lecz chłopczyków — co nie, to nie!
Nie? — to szkoda!
Jam tak młoda!
Lecz gdybym i pokochała,
I jednemu serce dała,
To dla innych cóż zostanie?
I skończy się panowanie.
Więc jednemu słówko rzeknę,
A drugiemu się uśmiechnę,
Temu główką tylko skinę,
To już powie: „dla cię zginę.“
To znów oczkiem ładnie rzucę
I ucieknę, ... nie powrócę —
I ucieknę — wszak jest przecie
Jakie miejsce na tym świecie,
Gdzie mi dobrze samój będzie?
Pójdiesz smutek za mną wszędzie?
O tak — pójdzie co raz dalej,
I serduszka nie ocali....
Oh! to smutno — bo ci wszyscy,
Ci dalecy, i ci bliscy,
Choć mi mówią słówka ładne,
Lecz zwodnicze, bo zbyt składne.
Więc uwierzyć im jest trudno,
A tak samój żyć — oh! nudno!..
Lecz wszak z oczu się wyczyta,
Gdzie jest miłość niespożyta,
Taka swojska, prosta, szczerą,
Co to nigdy nie zamiera,

Co w cierpieniu mnie zdradzi
I przez życie przeprowadzi.
I gdy znajdę ja takiego,
To ukochem już jednego,
Jemu tylko serce dam
I wesoło będzie nam.
Bo gdy spojrzysz tak serdecznie,
Tak prawdziwie i statecznie,
To ja duszą całą szczerze,
W taką miłość wnet uwierzę,
I uwierzę przecież raz
Że me serce, to nie głaz.

Anna M....



Śpiewy teatralne.

Śpiew Piffarda

z Załogi okrętu (Operetki Zaitza).

Jak z ciemnej puszczy tur,
Jam straszny męstwa wzór,
Gdzie tylko bój i wrzawa
Tam najmiłsza ma zabawa!
Niejedną bitwę znam,
Bom walczył tu i tam,
A krótka ze mną sprawa.
Pif — paf — puf! trzy trupy mam.
Ja na pierwszy bieglem strzał,
Gdy do boju bęben grzmiał.
Trom! trom! Ach pomnę zapał mój,
Gdy pod Marengo zawrzał bój
Tam mnie posiekał wróg,
I zwałił z nóg!
Lecz duch silny duch grzeje krew
Grzmi wojenny śpiew
Idę walczyć tak jak lew!
Dziewczęta wszelkiej krwi
Nie mogły ufać mi,
Te wstępnym bojem brałem,
A te na lep chwytałem.
W niedzielę była Basia
Nazajutrz zwinna Kasia
We Wtorek pulchna Franja
We Środę smukła Hania
We Czwartek Małgorzata
Przez dwa dni znów Agata!
Trom, trom, trom... trom!
Dziś jestem starzec już
Niezdolny do miłosnych burz,
Lecz jak za dawnych lat
Zawszem chwata.
Bo duch, silny duch grzeje krew
Grzmi wojenny śpiew,
Idę walczyć tak jak lew!

**Kuplet Piffarda z Chórem
z Załogi Okrętu.**

Gdym zbrojny wsiadł na koń
Podziwiał świat rycerską dłoń
Na widok mój już pierchał wróg.

Chór.

Ha! ratował się jak mógł.

Piffard

Pod Saarbrück — jakem zdrów
Zrąbałem dwa tysiące głów
I mógłem wszystko wyciąć w pień
Ach! to świetny byłby dzień!

Chór.

Ach, to świetny byłby dzień!

Piffard.

Lecz gdym już wpadł w wojenny szal
I cios stanowczy zadać miał.
Tu nagle z całych sił
Mój koń odskoczył w tył
I czmychnął wstecz za biesem w trop
Hop, hop, hop, hop! —

Pod Jeną to był żart!
Człek tylko zmachał się jak chart
A kiedym wpadł w Prusaków cę,
Wrzeszczał każdy: „Ach Herr Je!”

Pod Lipskiem inna rzecz,
Tam cały pułk odpartem precz
I jużem sztandar zdobyć miał
Mimo paszcz tysiąca dział!

Lecz gdym już strzelić miał do hord
Wypadł mi z ręki dzielny kord!
A sztuciec mój jak głaz
Nie palnął ani raz
I czmychnął koń za biesem w trop!
Hop, hop, hop, hop!

Serenada

z Załogi Okrętu (śpiewa Maks,)

O, luba w nocnej ciszy
Ja błagam Cię stęskniony
Niech dusza twa usłysz
Miłości słodkie tony, —
Ach zjaw się memu oku,
Jak gwiazda wśród obłoku,
Bo tylko widok Twój
To mój, tak to mój pociechy zdroj.
O wyjdź, o wyjdź, o wyjdź, o wyjdź!

O luba noc majowa
Miłosne budzi drżenia
Ach, wyjdź niech serca mowa
Ukoi me westchnienia,
Tu błogię sere rozkoszy
Natrętny wzrok niesposzy.
O daj ubłagać się.
O luba — pójdz w objęcia me!
O daj ubłagać się,
Ach, pójdz w objęcia me!

Chór alarmowy z Załogi okrętu.

Tak wczesnie dziś pobudkę grzmią,
Więc wszyscy spieszym tu.
Czyż stało się ważnego co,
Ze budzą nas ze snu? —
Jeżeli już na morze czas,
Tośmy gotowi wciąż,
My iść do boju wszyscy wraz
Jak jeden staniem mąż;
Ach, gdyby to grzmiał boju znak
I okręt pchnął na morski szlak.
Ach, na tę myśl już serce drży,
O boju, o boju dusza śni,
Ach śni, wciąż śni!

Śpiew Piffarda z chórem

z Załogi okrętowej.

Na pokład héj! gotujcie się do drogi,
Sterniku pływ, a los na Boga zdaj!

Choć burza wre, to majtek nie zna trwogi,
On walczy i ginie za najdroższy Ojców kraj!
Ty dziewo cna, coś chluba dlań jedyną
W czystości mu zachowaj serce twe,
A chociaż dziś twe oczy iza zapłyną
My znowu powrócimy i radość otrze ize!
Gdy straszna noc dokoła cię odłoni
I pośród skał zawarczy gromu huk,
Gdy trzeszczy maszt na wzdętą burzą toni
Wznies ducha do nieba, a pomoc zesze Bóg!
Na pokład héj! gotujecie się do drogi,
Sterniku płyn; a los na Boga zdaj!
Choć burza wre, to majtek nie zna trwogi,
On walczy i ginie za najdroższy Ojców kraj!

Finiał - chór.

Na pokład chłopcy wraz,
Gdy spyta o mnie lubka ma
Ha, to wiatr odpowiedz da,
Dziś sławy nas uniesie prąd,
Lecz wrócim znów na drugi ład.
Kochance słodki emok,
Wrogowi kulą w bok,
Ojczyźnie nasza krew
To w drogę majtka śpiew!
Na pokład héj! itd.

Polonez ze Staroświecczynny. (J. N. Kamińskiego.)

Gdy człek w taniec Polski stanie,
Was pokręci, tupnie nogą,
Pierś mu rośnie, héj Mospanie!
Już jest zdrowszy, już mu błogo. —

Śmiałem kołem wolno płynie,
Jak wrzecziono się nie kręci. —
Cmoknie w rączkę swą boginię
I oświadczy serca chęci!

Męztwo w sercu, śmiałość w mowie,
Laur na skroni, kord u boku,
To mi postać jest panowie,
Taki taniec wart widoku!

Héj Mospanie, gdy w dłoń klasnę
W koło damy się wywinę,
Wtedy czując godność własną,
Mam po temu krok i minę!

Mazur ze Staroświecczyny.

Bez urazy powiem śmiało,
Nie w smak dla mnie wasze mody,
Gdzież te uczty, gdzież te gody
Nie tak dawniej to bywało.

Moździerz zagrzmiął na wiwaty,
Kielich wodził rej na balu,
Szlachcic nie pił tam herbaty
Był to trunek dla szpitalu!

Nie masz uczty bez węgrzyna
On myśl rzeźwi, serce grzeje,
Dawne czasy przypomina
Człek w ich powrót ma nadzieję.

Gdy nam wino zjaśni czoło
W przyjaźń sobie rękę dajmy,
Państwa domu weźmy w koło,
Niech nam żyją! zawołajmy.

Wzajem w błogiej téj godzinie
Pan Gospodarz nam w oddankę
Pocaluje Gospodynią
A z nas każdy swą bogdankę!

Jeszcze jedno mam życzenie
Spełnij je nadziejo miła,
Aby nam i naszej scenie
Łaska Wasza wierną była!

Héj, do kielichów panowie
Nalać proszę do pełności
I ostatnie pijmy zdrowie
Zdrowie naszej Publiczności!

Wiwat!

Spiew Bardosza (studenta) z Krakowiaków i Górali.

Kiedy na świat rzucę okiem,
Cóż się dla mnie tam odsłania?

Widzę, jak się spiesznym krokiem
Człowiek za szczęściem ugania.

Ale ta powabna mara,
Zwodzi płochego człowieka;
Gdy się do niej zbliżyć stara,
Zmienia postać i ucieka.

Szczęście zawsze ślepo chodzi,
Ślepo sypie swoje dary:
Jego ręką trać powodzi,
Lub nie nie da, lub bez miary.

Jednak, gdy chcesz być szczęśliwy
Nie zbywa ci na sposobie:
Kochaj bliźnich, bądź poczciwy
Znajdziesz szczęście w samym sobie.

By to szczęście wiecznie trwało,
Pracuj a nie trać nadziei!
Mądre bóstwo wyrok dało:
Wszystko idzie po kolei.

Zmienia się najgorsze losy,
Przejdzie czas srogięj pokuty;
I ja byłem niegdyś bosy,
Teraz przecie mam już bóty.

Polonez z Krakowiaków i Górali. (śpiewa organista Miechodmucha.)

Nuże skrzypce, nuż cymbalki,
Żwawo tnijcie, a od ucha,
Choć bóty pójda w kawałki,
Choć połowę stracę brzucha!

Miło tupać o tę ziemię
Wszakże to jest ziemia nasza:
Tutaj polskie wzrosło plemię,
Tu się rodzi chleb i kasza!

Żyzne są nasze zagony:
Nie trzeba w nich wiele dłużyć;
Nawet gdy zleca gawrony,
Mają także co podziubać!

Zawsze szczerdność bozka z nami
Ta obdarza nas pszenicą;
Wyślemy ją galarami
Żywić głodnych za granicą!

Nuż wesolo! nuż żywo!
Smutek zostawmy dla głupców!
Wszak obfite mamy żniwo,
Nuż żwawo do hołubców!

Śpiew Jonka
z Krakowiaków i Górali.

W mieście dziwne obyczaje
Mówią ze to świat ucony,
Ale mnie się tak wydaje,
Jakby to był świat salony.

Tam nie powie: „Witaj bracie!“
„Sęść wam Boże!“ lub podobnie,
Tylko jak koń nogą skrobnie
I to znaczy: „Jak się macie?“

„Padam do nóg!“ każdy woła;
By nie upadł jest ostrożny,
Niejednego kieszeń gola.
Przecie zwą go „Pan Wielmożny.“

„Na mój honor! słowo daję!“
Idzie u nich jak chleb z masłem,
Co wprzód było zacnych hasłem,
Tém się zwodzą dziś sachraje.

Wedle wzoru z zagranicy
W wieczór siedzą przy objedzie,
Lalki chodzą po ulicy,
W łóżku leżą blade śledzie.

Słowem różne są saleństwa:
Panny zwą się Marmuzele;
Za tak marne ceregiele
Wyrzekają się panieństwa!

Duet Stacha i Basi
z Krakowiaków i Górali.

Stach.

Serca, które miłość spoi,
Chcieć rozerwać, jest myśl płocha;
Co się człowiek stracić boi,
To tém bardziej jesece kocha.
Próżne wrogów są zamysły,
Że chcą zgasić miłość naszą:
Niech wycerpią wodę z Wisły.
A przeciez jój nie ugasa.

Basia.

Gdy gołąbka od samicy
Spłosy w polu sęp okrutny,
Do najdalszej okolicy
Zguby szukać leci smutny.
Nie straszą go i pustynie,
Wśródzie suka przyjaciela;

Póty lata, z głodu ginie.
Póki z lubą się rozdziela.

Stach.

Gruha każdego poranku,

Basia.

Mysząc ciągle o kochanku!

Stach.

Lecz kiedy się przydybują,

Basia.

Jakże się czule caują!

Razem.

Któż rozkoszy te wypowie,
Które czują kochankowie?
Niechaj tego Pan Bóg skarże,
Co nam kochać się zabrania
Umierajmy z sobą w parze:
Strasniejsza jest śmierć z rozstania!

Wodewile

z Krakowiaków i Górali.

Dorota.

Dajcie przykład zacne matki
Nie bądźcie płochemi.
Uczcie kochać wasze dziatki
Cnotę Polskiej ziemi.
W tém szukajcie swojej chwały
W tém rozkosz w siwiźnie,
Aby z mlekiem waszém ssały
Miłość ku ojczyźnie!

Basia.

Trzy mogiły w naszej stronie
Wznoszą się do nieba;
Każda przykład ma w swém łonie
Jak kraj kochać trzeba.
Gdy je Polak ujrzy okiem
Zaraz męztwem spłonie;
Pójdzie walczyć śmiałym krokiem
W ojczyzny obronie!

Bartłomiej.

Sławną była ta kraina
Z bohaterów wielu:
Każdy kamień to wspomina
Na wzniosłym Wawelu.
Drogie dla nas ich świątynie
Szanowne siedliska;
Sama Wisła, nim odpłynie
Wprzód ją uściska!

Bryndus.

Wspólną chwałę Tatry miały
I dotąd nią słyną,
Na ich szczytach Orzeł biały
Czuwał nad krainą.
Często z naszych gór przestworza
Polski piorun błysnął,
Leciał pogrom aż za morza
Gdy król mężny cisnął!

Cnotliwski.

Nie przestańcież wy uczeni
Siać ziarna mądrości!
Choć się teraz nie rozpleni
Zejdzie w potomności.
Nie budujecie dla swój chwały
Jak inni śmiertelni:
Niechaj będzie naród cały
Celem waszój kielni!

Jonek.

Z nauk męztwa i cnót innych
Najpierwsi na planie,
Miejcie dla nas dobre chęci
O Wielkopolsanie!
Dziś przy nowém kierownictwie
Narodowej seeny,
Wspierać chciejcie uczęszczaniem
Dzieci Melpomeny.

Dorota.

Każdy Polak co czcic umie
Przodków swoich kości,
Niech pospołu z braćmi swymi
Odda się radości...
Boć najdroższe co dziś mamy
Ten przybytek sztuki,
Bóg dozwolił, że w kawały
Nie rozdarły kruki!

Więc niech każdy komu serce
Polskie w piersiach bije,
Wspiera teatr myślą, czynem,
Wszystkich sił użyje.
A przekona nieprzyjaciół,
Że my ręka w rękę.
To co Polskie, to co nasze
Wskrzesim, — choć przez mękę!

Bryndus.

(Ułożył i śpiewał J. Jejdo).

Wam zaś także Polska młodzi
Niech nie będzie marném,
By uprawiać ziemię Ojców,
Tém co oni ziarnem.

A natenczas z krwawej pracy
Zejdzie plon niemały.
Błyśnie piorun, — zejdzie burza
Wzleci Orzeł biały!

Polskie matki, Polskie córy
Gdy o sztukę dbacie,
Zwiedzcie często i te mury
W których scenę macie; —
W tym budynku jest rozrywka,
Jest nauka zdrowa,
Tu Ojczyzna, tu braterstwo,
Tu się język chowa.

Kto ma serce tam gdzie trzeba
Dobrze to rozumie,
Jakże świętym jest dar Nieba
Gdy człek kochać umie. —
Miłość kraju pierwsza w świecie
Polak każdy przyzna, —
Nawet jarzmo mniej go gniecie
Gdy w sercu Ojczyzna! —

Śpiew czyli Modlitwa Basi
z Krakowiaków i Górali.

O wielki Boże! skończ nieszczęsnych mękę,
Niechaj Opieki Twojej doznawają!
Tym pobłogosław, co im dają rękę,
Co ich z upadku i nędzy dźwigają!
Niechaj ta chwila, jak najprędzej spieszny,
Która ma zerwać, ich niewoli pęta.
Niechaj się każdy tem co kocha cieszy, —
Niech między ludźmi mieszka zgoda święta!



Biblioteka
UMCS
Lublin

